

# Strachy Pentelikonu





ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## *Strachy Pentelikonu*

Tuląc ją do swych piersi w mroku wieczornym i całując w okrażone uśmiechem usta, rzekł:

— Teraz ci opowiem inną bajkę.

Pewnego dnia przybiegł do Aten młody pasterz z przerażającą wieścią. Pędząc zadywany przez ulice, zwoływał przechodniów, którzy spieszyli za nim, strwożeni i ciekawi. Na rynku stanął, otoczony gromadą ludzi. Osypano go zewsząd pytaniami, ale on przez chwilę tylko dyszał i wskazywał na górę. Wreszcie, chwyciwszy kilkakrotnie ustami więcej powietrza, wyrzucił z nich:

— Ratujcie!

— Kogo? — jednogłośnie krzyknęli obecni.

— Ktoś tam wzywa pomocy — wybąkał chłopiec.

Badano go uporczywie, a on odpowiadał w urywanych i zagadkowych słowach. Nakoniec, odpocząwszy i opanowawszy wzruszenie, przemówił:

— Pasłem owce na stokach Pentelikonu. Gdy stado zbliżyło się do miejsca, w którym otwarto nową kopalnię, usiadłem przy świeżo dobytej bryle marmuru i zacząłem na jej gładziej ścianie tym oto nożykiem rysować wizerunek koziołka. Nagle zdało mi się, że z rozwartego boku góry wyszło przeciągłe i żałosne westchnienie. Spojrzałem wokoło, ale prócz owiec, skubiących trawę, żadnej żywej istoty nie dostrzegłem. Tylko wąwozem po gałęziach krzewów przeslizgnął się lekki wietrzyk, który jak gdyby roznosił im echo tej skargi. Wkrótce powróciła cisza, a ja zacząłem dalej wydłubywać rysunek. Zaledwie wszakże zrobiłem kilka nacięć, znowu, ale już silniej, rozplynął się ten sam jęk, a równocześnie w mojej bryle coś drgnęło, niby kurczę w jajku. Zerwałem się spłoszony; wtedy cały Pentelikon zabrzmiał wstrząsającym i bolesnym głosem, w którym uszy moje zdołały uchwycić jeden tylko wyraz: Alkamenesie!

— Alkamenes? — powtórzyli zdumieni słuchacze. Co to znaczy?

— Odskoczyłem kilka kroków, głos ów ucichł, ale gdy bryła, na której wycinałem koziołka, stęknęła mojem imieniem, uciekłem i przybiegłem tutaj. Obywatele, tam coś straszy lub ktoś ginie!

Jedni kiwali głowami, drudzy milczeli w głębokim zamyśleniu, inni zdradzali twarzami strach dojmujący, inni podawali coraz nowe rady, inni drwili szczerze lub sztucznie.

— Zapewnie robotnik wpadł wczoraj do głębokiego dołu kopalni i wydobyć się nie może.

— Tak, dziś święto, nie pracują, więc nikt go nie słyszy.

— Ale czemuż woła cała góra?

— Atena wzywa dla nieszczęśliwego naszej pomocy.

— Niech go sama wydobędzie.

— Nie bluźnij, bo to niewątpliwie jakiś bóg obrażony domaga się ofiary.

— Darujemy mu ciebie i uspokoi się.

— Co za jeden ów Alkamenes?

Nie umiano objaśnić.

Tymczasem przybyli zwabieni zgielkiem dostojnicy miasta. Wysłuchawszy opowieści, podzielili się w zdaniach. Archontowie utrzymywali, że chłopiec prawdopodobnie zasnął, a wzięwszy przywidzenie za rzeczywistość, bredzi; kapłani znowu, poparci przez starych areopagitów, twierdzili, że któryś z bogów gniewa się i że należy go koniecznie przebłagać.

Uradzono nareszcie wysłać z pastuszkami trzech wiarogodnych obywateli, którzy sprawdzą jego słowa na miejscu.

Poselstwo wyruszyło natychmiast, a za niem pociągnął liczny orszak ciekawych. Po drodze rozprawiano dalej o dziwnym zdarzeniu, które szybko rosło, przechodząc z ust do ust, pomnażane coraz nowymi dodatkami. Znaleźli się świadkowie, którzy kiedyś również słyszeli westchnienia Pentelikonu, ale uważali je za granie wiatru na zrębach skał. Z niepokojem serc zbliżała się rzesza do wskazanego miejsca.

Słońce stoczyło już swój krąg ognisty nad brzeg nieba, powietrze kołysało się lekkimi falami ciepłych i wonnych podmuchów, trącając nieznacznie liście drzew. U podnóża góry pasły się rozproszone owce, które spostrzegłszy tłum ludzi, podniosły zdziwione głowy i zaczęły skupiać się w większe gromadki.

Rzesza stanęła i puściła słuch na zwiady. Oprócz wszakże lekkich szmerów nic nie mąciło ciszy.

Przewodnik zaprowadził wysłańców do bryły marmuru, na której rzeczywiście ujrzeli piękny rysunek koziołka. Ale i kamień milczał.

Rozwiązały się języki przeciw chłopcu: łajano go i chłostano kpinami. Poważniejsi radzili zajrzeć do otworu kopalni; lecz i stąd nie wyszedł żaden głos. Jednych ogarnął gniew, drugich — śmiech, innych — wstyd. Postanowiono nie wracać do miasta razem, aby uniknąć szyderstwa.

Wkrótce tłum się rozsypał, a pod górą został sam zakłopotany pasterz.

Naturalnie trzech wysłani obywatele nie zwołali zgromadzenia ludu, nie chcieli nawet odpowiadać pytającym ich po drodze o wynik śledztwa; uwiadomili tylko archontów, że chłopcu jakiś duch wyrządził psotę.

Ale zaledwie wiadomość ta, podszyta śmiechem, rozbiegła się po Atenach i uspokoiła umysły, gruchnęła inna — że pasterz przypędził swe stado, wystraszony nowymi jękami Pentelikonu.

Sprowadzono go do Areopagu, który zebrał się na nadzwyczajną naradę, i poddano szczegółowemu badaniu.

— Skoro znikli mi z widoku ostatni uczestnicy naszej wyprawy — mówił on — usiadłem przy bryle marmuru i zacząłem dalej rzeźbić mojego koziołka. Nagle, jak przedtem, kamień drgnął żywo, a z góry wypłynął ten sam żaloszny głos. Wytężywszy uwagę, wyraźnie usłyszałem kilkakrotnie powtórzone słowa:

— „Alkamenesie, wyswobódź nas!”

Nie spałem, uszy mnie nie omyliły, klnę się na wszystkich bogów, a jeśli kłamię, niech sprawią, ażeby mnie nienawidziło wszystko, co kiedykolwiek ukochem.

Sędziowie zapadli w nastrój poważny. Wiara młodzieńca udzieliła się im widocznie; czuli, że jakaś tajemnicza prawda tkwi w jego opowiadaniu.

— I twoje imię brzmiało?

— Zdaje mi się, ale tego mniej jestem pewny, niż imienia „Alkamenes”.

Nikt z obecnych pod tą nazwą żadnego obywatela nie znał. Po krótkiej tedy naradzie postanowiono go szukać.

Wieczór ten przeszedł w Atenach wśród wielkiego niepokoju. Snuto najrozmaitsze domysły i wskazywano najdziwniejsze przyczyny, a trwoga przez całą noc odganiała sen z powiek bojaźliwym. Na piersi miasta padła dręcząca zmora.

Nareszcie zaświtał ranek, a z nim ukojenie dla serc: Alkamenesa odnaleziono.

Pierwsi roznosiciele nowiny zmyśleniami objaśniali pytających, kim był ów tajemniczy człowiek, którego imieniem Pentelikon jęczał i straszyl. Nikt go bowiem dobrze nie znał, ale zapewniano, że mu złowrogi płomyk w oczach migocze. Z tem większą skwapliwością płynął przez ulice miasta ku Areopagowi tłum ludu, łaknący ujrzeć Alkamenesa i usłyszeć od sądu wynik śledztwa. Cizba zapchała plac, niepokojąc się czekaniem. Wreszcie przeleciał po ustach gorączkowy szmer: idzie!

Szedł śpiesznie wśród dwóch dozorców miejskich, przecinając stłoczoną masę ludzi, którzy mu uparcie drogę zagrządzali. Ściągnęła, śniada jego twarz drgała tłumionym wzruszeniem, z pod zsuniętych brwi przeblyskiwały spojrzenia niecierpliwego gniewu i dumy, na wargach zwieszał się co chwila szyderczy uśmiech, a ręka z godnością odgarniała natrę-

tów. Szybko prześlizgnąwszy się smukłą postacią przez szczeliny gęstniejącej około niego gromady, wbiegł do Areopagu.

Sąd oczekiwał go w pełnym zgromadzeniu i natychmiast przystąpił do badania.

— Obecny tu pasterz — rzekł przewodniczący — słyszał kilkakrotnie imię twoje, brzmiące z Pentelikonu. Ponieważ musi to być głos boski, żądający jakiegoś zadośćuczynienia, więc wezwaliśmy cię w tej sprawie. Skąd jesteś?

— Urodziłem się w Atenach.

— Dlaczegoż nikt cię tu nie zna?

— Osierocony wcześniej, wychowałem się w Larissie u stryja, skąd po jego śmierci przybyłem tu przed tygodniem.

— Czem się trudnisz?

— Dotąd niczem.

— Z czego żyjesz?

— Za ładowanie statków dostaję dziennie w porcie pół obola.

— Cóż robiłeś w Larissie?

— Wycinałem na pniach drzew i skałach postacie, które za mną chodziły i oplakiwały Fidyasza.

— Znasz Pentelikon?

— Jeszcze go z blizka nie widziałem.

— Bogowie kochają tę górę o łonie marmurowem; jeżeli więc z niej skarżą się na ciebie, musiałeś ich obrazić.

— Ja ich tylko stwarzałem.

— Błędnie.

— Obejrzcie pnie drzew w Larissie.

— Błędnie; prawdopodobnie tam wyrządziłeś im jakąś zniewagę i uciekłeś przed zemstą. Dostrzegłszy cię tu, domagają się ofiary.

Badanie skończono. Po długiej naradzie sąd wydał wyrok, skazujący Alkamenesa na przebywanie u otwartego wnętrza Pentelikonu, dopóki bogowie wyraźnie swej woli co do winowajcy nie objawią lub go nie zgładzą.

Lud przyjął to orzeczenie z zapalem.

Alkamenes wrócił do domu, w którym przebywał, zabrał woreczek podróży i udał się na miejsce kary.

Wyszedłszy za miasto, ujrzał niedaleko wysoką górę, do której droga wiła się krętą taśmą wśród krzewów i drzew, przez grzbiety łagodnych wyżyn i długie wygięcia dolin. Dzień pogasił już jaskrawsze promienie słońca i z jego wielką złotawą tarczą zsuwał się ku zachodowi, rozrzucając blaski po wierzchołkach i krawędziach skał, kiedy Alkamenes stanął u podnóża Pentelikonu.

Legenda mówi, że kiedyś w tym miejscu padł obarczony przez bogów garbem olbrzym, którego ciało ziemia wessała, pozostawiwszy tylko garb, stanowiący marmurową górę. Może więc duch tego nieszczęśliwego męczennika jęczy żałośnie? Alkamenesowi nawet zdawało się przez chwilę, że słyszy jakieś głębokie westchnienia, ale wkrótce sprawdził, że go ogarnia złudzenie. Swawolne wietrzyki wieczoru zlatywały do niego z wyżyn i wrzucały mu do uszu tajemnicze szmery, których on nie rozumiał i ująć w nich słuchem swego imienia nie zdołał. Nareszcie słońce owinąwszy się w sinawą chmurę, spoczęło na ognistym łożu, a noc zasunęła nad niem swą ciemną zasłonę i dała naturze znak milczenia.

Alkamenes usiadłszy zgnębiony, myślał o dziwnym losie, który go tu zagnał, o całym życiu swoim biednym, tułaczem, zabijającym ciągle odradzające się pragnienia, których ani zadowolić, ani zdławić nie mógł.

— Cóż ja bogom zawiniłem — mówił do siebie — że w piersi mojej rozdmuchują żar, który mnie przepala? Po co każą orłom pełzać, a żółwiom przyprowadzają skrzydła? Czy wszechmoc ich potrzebuje się nasycić tak okrutną igraszką? Będę leżącym na dnie morza mięczakiem, będę jadowitą żmiją, pracującym wolem, będę najpodlejszym człowiekiem, tylko niech mi z duszy wydrą nieukojone chęci, niepokonane marzenia i drżące w niej siły, które mnie porywają w krainę czynów, wysoko wzniesioną nad poziomem mojej niedoli. Nędza nie chce mnie pożreć odrazu, tylko powoli objada. Pracę w mizernym najmie zarabiam na przedłużenie życia, które się pastwi nade mną. I czego ja jeszcze oczekuję? Czy te drzewa otrzęsą mi litościwie ze swych gałęzi na pokarm kilka oliwek,

a ta góra odłamie kawał marmuru, ażebym weń wcielił jedną z tych mar, które licznym rojem koło mojej głowy krążą? Oderwany i gnany wichrem liść, daremnie wtykam się w ziemię, ażeby w nią wrosnąć — schnę i pędzę dalej. A może mnie tylko nawiedzają widma myśli chorej, może ja nie posiadam tej mocy, która moją wyobraźnię dreszczami geniuszu wstrząsa? Ach, odstępście mnie dręczące natchnienia, których ciałami przyoblec nie mogę, stocz się po stromej skale twardy głazie i roztrzaskaj tę wrzącą czaszkę.

Oparł twarz na dłoniach bólami porytą.

— Głupcy — rzekł półgłosem — Pentelikon mnie woła! Czemuż milczy, gdy do niego przyszedłem?

W tej chwili nastąpiło zjawisko dziwne: góra drgnęła kilkakrotnie i wydała głębokie westchnienie. Przez otwarty jej bok, którym wydobywano marmur, zaczęły nieprzerwanym szeregiem wysuwać się najrozmaitsze śnieżno białe postacie. Naprzód wszelkich gatunków zwierzęta, małe i wielkie, gładkie i wełniste, łagodne i drapieżne, które otoczywszy kręgiem Alkamenesa, zabrzmiały:

— Bądź pozdrowiony stwórcy i zbawco, który wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Tym samym porządkiem powróciły z wolna do wnętrza góry.

Znowu ona drgnęła i znowu z jej otworu wyszły długim łańcuchem postacie ludzkie: mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy, nadzy i odziani, w nieprzeliczonych odmianach piękna i brzydoty, wzrostu i budowy. Opasały one również Alkamenesa i zawołały chórem:

— Bądź pozdrowiony stwórcy i zbawco, który wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Pierścień widm rozłamał się i wyprostowaną kolumną wsunął w grotę góry.

Jeszcze raz zadrgała i wystąpił z niej orszak olbrzymów, bogów i bogiń, uderzających nadziejską siłą i czarujących wdziękami. Obstąpiwszy Alkamenesa, zagrzmieli:

— Bądź pozdrowiony stwórcy i zbawco, który wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Kiedy orszak ten powracał do góry, która teraz, jak i poprzednio, wydawała się wydrążoną, pustą wewnątrz, popękaną z wierzchu i przeświecającą przez szpary lupiną, ostatnia z postaci zatrzymała dłużej na Alkamenesie smutny swój wzrok i zniknęła.

Czy widzenie to przesunęło się przed nim we śnie, czy na jawie, nie wiedział; musiało ono jednak trwać długo, bo gdy się skończyło, na bladą i bezprzytomną twarz Alkamenesa padły pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Stał on nieruchomy, z oczami utkwionymi w otwartą ścianę Pentelikonu i piersią wzruszeniem nabrzmiałą, sprzegając rozpierzchłe myśli i usiłując zapanować nad niemi. Nareszcie chwiejnym krokiem przystąpił do bryły marmuru, przy której odwróciła się ku niemu smutna postać, coś przypominał sobie, czy szukał śladów. Nie było żadnych, ale jak gdyby uczuł w kamieniu słabe tętno życia.

— Ona tu jest — szepnął, a wyjąwszy z woreczka dłuto i młotek, gorączkowo kuć zaczął.

Zdawało mu się, że bryła ta nie jest kamieniem, ale zwojem osłon, które okrywają postać boskiej niewiasty, w marzeniu przezeń widzianą i z których on ją rozwija. Osłony te pod jego dłutem opadały szybko; ale w miarę jak oderwawszy zwierchnie i grubsze, zbliżał się do spodnich cieńszych, ręce jego pracowały coraz delikatniej i ostrożniej.

Ponieważ roboty w kopalni zawieszono i pod groźbą gniewu bogów zakazano komukolwiek chodzić do góry, przy której spełniała się dla nich ofiara, więc nikt mu nie przeszkadzał i zdroju natchnień nie mącił.

Skoro noc owionęła ziemię mrokiem, omdlały Alkamenes złożył głowę na rzeźbionym marmurze i zasnął. Wtedy objawiła mu się znowu owa cudowna postać, ale już sama. Stała tuż przy nim i dźwiękiem rzewnej pieśni przemówiła:

— Jestem Psyche, dusza dusz. Umiłował mnie Eros, ale rozkochaną opuścił, gdy spojrzalam w jego twarz, którą w miłości naszej niewidzialną mieć pragnął. Tęsknię do niego w nadziei, że wróci.

Rozwiała się w powietrzu.

Jednocześnie sen odjął swe dłonie z powiek Alkamenesa, który obudził się, przez chwilę pogonił myślą uroczę widmo i otrzeźwiony z zapalem przystąpił do pracy.

Trwała ona dni wiele, a każdy coraz szczegółowiej ukazywał kształty boskiej niewiasty, spowitej w płatki marmurowe. Nareszcie pozostała już tylko cieniutka powłoczka, niby przejrzysta mgła, pod którą Alkamenes widział już wyraźnie całą postać i czuł ruchy jej życia. Lekkiemi, jak pierwsze pocałunki miłości, musnięciami dłuta zgarnął on ten obłoczek, a skoro zsunął ostatni jego rąbek, stanęła przed artystą olśniewająco biała, niepokalanie czysta, odurzająco piękna Psyche. Wdzięczną główkę, z włosami gładko przyczesanymi i zwiniętymi w splot swobodny, pochyliła nieco ku piersiom; spuszczone oczy otaczały jej nagość szatą dziewiczego wstydu, a z drobnych ust łagodny smutek wypijał ostatnie krople uśmiechu. Jedną stopkę podniosła nieco od ziemi, jak gdyby chciała wlecieć na skrzydełkach motyli, które jej z ramion wyrastały, a w rączce trzymała kwiatek, pamiątkę miłości.

Alkamenes zatonął w jej uroku, a Pentelikon, z którego ją wywiódł, zabrzmiał potężnym głosem zachwyty.

Pomimo zakazu władz, młody pasterz, który przegnał owce na sąsiednią górę, posyłał często swe bystre oczy do samotnego skazańca. Widział on go zdala pochyłonego nad kamieniem, ale niczego więcej rozpoznać nie mógł. W dniu wszakże narodzin Psyche przybiegł wystraszony do Aten i opowiedział zgromadzeniu, które go natychmiast obiegło, że wyszła z Pentelikonu i stanęła przed Alkamenesem jakaś przepiękna bogini. Kapłani osądzili, że zapewne ona oznajmiła pokutnikowi wolę nieba i że należy go już sprowadzić.

Wszyscy mieszkańcy pod przewodnictwem dostojników wpłynęli długim i szerokim potokiem w wąwóz, wiodący do Pentelikonu. Przybywszy pod górę, zatrzymali się w zdumieniu, jak gdyby na ich oczy padł czar cudu: na posłaniu ze śnieżno białych okrzeseń marmuru, skąpana w blaskach słońca, oglądającego ją szeroko rozwartą źrenicą, stała Psyche a przed nią klęczał Alkamenes.

Z wielką uroczystością przeniesiono posąg do Aten i umieszczono go na Akropolu.

Nazajutrz stróż świątyni upewniał, że w nocy słyszał przez ścianę jakieś czułe szepty, co kapłani wyjaśnili tem, że prawdopodobnie Eros odwiedził i wypieścił swą oblubienicę. Rzeczywiście, z jej ust jak gdyby ulotnił się smutek.

Odtąd nie odzywały się już strachy w Pentelikonie. Alkamenes przebywał przy nim często i wyprowadzał zeń do Aten coraz nowe postacie, ale zanim każdą wydobył z osłon marmurowych, siedł na modlitwę do Psyche, przez którą objawił się jego geniusz i która udzielała mu natchnień.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strachy-pentelikonu/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, Bajki [Pisma, T. III], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1897].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0839-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.